

Mateusz Tomiczek – Dziennik Postapokaliptyczny
konkurs „Świat się kończy”, tekst pobrany ze strony www.wsdn.pl

Nazywam się Hubert i jestem jedną z osiemnastu osób w schronie Pol_393. Jestem, a raczej byłem, studentem cybertroniki na Ponadczasowym Uniwersytecie Jagiellońskim na który zmieniono cztery lata temu zwykły UJ. Nie wiem po co piszę te słowa. Może to próba uspokojenia skołatanych nerwów. A może chcę ku przestrodze opisać to co się stało. Dla potomności.

Wyśmiałem sam siebie. Nie mam pojęcia czy ludzi pozostało jeszcze wystarczająco wielu by stworzyć jakąś potomność. My siedzimy w tym schronie w osiemnastu facetów i nie mamy pojęcia czy gdzieś ocalała jakaś kobieta. Ale do rzeczy.

13 czerwca 2025 roku – Dzień przed końcem dni.

Był to dzień jak każdy inny, a zaczynam od niego by przedstawić warunki w jakich żyliśmy i ewentualne przyczyny tego co zaszło. Jak co rano wstałem i doprowadziłem się do porządku. Spojrzawszy w terminarz wybiegłem z domu. (~~Mieszkałem~~ Mieszkałem w Krakowie więc na uczelnię miałem blisko) by nie spóźnić się na wykład z budowy cybermózgu. Wsiadłem do areokolejki (taki wagonik napędzany sprężonym powietrzem i poruszający się po specjalnej szynie na wysokości dziesięciu metrów. Zamontowali to w wszystkich większych miastach jakieś dwa lata temu) i za pomocą komórki (taki telefon który się zmieści w kieszeni.) wybrałem bilet do przystanku przy PUJ (Od kiedy dodali słowo „Ponadczasowy” skrót brzmi strasznie debilnie). Areokolejka zrecznie wyminęła starówkę, gdzie wszystko wyglądało jak ćwierć wieku temu. Czyli samochody na kołach, kościół z dzwonami i tak dalej.

Profesor na wykładzie przynudzał tak straszliwie że chyba zapamiętam tę mordęgę do końca życia, co może nastąpić niedługo ze względu na sytuację. No proszę, zażartowałem, widocznie to pisanie działa na mnie kojąco, szkoda że nie odkryłem tego PRZED końcem świata, przydałoby się przy egzaminach. Lecz do rzeczy, po południu udałem się do mojej pracy, zmywałem naczynia w restauracji „Plasmoid”, nie wielu ludzi zasłużyło na to co teraz powiem ale mój szef tak. Mam nadzieję że nie przeżył. Wieczorem (po dwudziestej drugiej) postanowiliśmy z kilkoma kolegami wyjść na miasto i się zabawić. Nie musieliśmy rano wcześniej wstawać bo był to piątek.

14 czerwca 2025 roku – Dzień zagłady.

Ten dzień zapisze się pewnie w mojej pamięci na długo... o ile wystarczająco długo pożyję. Obudziłem się około dziesiątej ze straszliwym kaczem, odsłuchałem wiadomość od Gruchota, kolegi z roku. Pytał mnie czy pamiętam coś z wczorajszego wieczoru i czy zostanę ojcem chrzestnym bękartów które wczoraj spłodził. Biedak nie wiedział że dziś zginie. Po południu poszedłem do pracy i po drodze spotkałem Gruchota wraz z kilkoma kumplami z roku, pięciu z nich siedzi teraz ze mną w schronie. Zadeklarowali że pójda ze mną do pracy i naplują na mojego szefa, chociaż odmówiłem uparli się by mnie odprowadzić.

Zaczęło się jakieś sto metrów od restauracji i sto pięćdziesiąt od dwóch schronów uniwersyteckich które kiedyś pokazywano nam na lekcjach BHP. Kilkadziesiąt metrów przed nami, po drugiej stronie ulicy wyrwało nagle spory kawał ściany. Wszyscy rozbiegli się szukając osłon myśląc że to atak terrorystyczny. W dzisiejszych czasach terroryści nie używają już bomb, wolą gazy i plazmę ale każdy oglądał stare filmy więc zadziałał instynkt. Przekonałem się że to nie zamach gdy zobaczyłem skałę wielkości kosza na śmieci która spadła w płomieniach z nieba dwa metry od Gruchota dosłownie rozrywając go na części. Byłem totalnie zaszokowany lecz teraz gdy o tym piszę nie czuję zupełnie nic.

W okolicy spadły jeszcze dwa takie meteory i wszystko się uspokoiło... na trzydzieści sekund. Gdy ludzie wstali z klęczek i unieśli głowy rozpoczął się prawdziwy deszcz śmierci. Głazy wielkości tego który zabił Gruchota i jeszcze większe spadały z nieba dziesiątkami a może nawet setkami. Ktoś zawołał coś o schronie więc pobiegłem za nim. Kiedy biegłem na złamanie karku jakieś dwadzieścia metrów przede mną spadł meteor (pamiętam, że odłamek przeleciał kilka centymetrów od mojej głowy). Gdy go mijałem z krateru coś wyskoczyło i zwałiło z nóg dziewczynę biegnącą za mną. Obejrzałem się przez ramię i

zobaczyłem... Nie wiem co zobaczyłem, przypominało ~~homara jaszczurkę~~ nietoperza lecz wielkiego i całkiem tysego, bez uszu i całego w słuzie. Właściwie to nie mam pojęcia co mi to przypominało ale zapamiętam ten widok ~~do końca życia~~ bardzo długo. Nie zatrzymałem się by pomóc dziewczynie, właściwie chyba nic nie mogło już jej pomóc. Mimo to wstydzę się że nic nie zrobiłem i pobiegłem dalej.

Do schronu zatapałem się jako ostatni, znany mi z widzenia osiłek właśnie zamykał właz gdy wpadłem do środka. Dobrze, że się pośpieszyłem bo kilka sekund później grube, żelazne drzwi zostały lekko wgięte przez uderzający meteor. Jest wieczór tego dnia. Znalazłem w jednej z szafek schronu ten notatnik i długopis. Jest tu też trochę żywności w proszku i hydroza (zawsze wolałem starą, dobrą wodę od tych ohydnych kryształków). Do ścian jest przybitych z sześćdziesiąt pryczy, w łazience są trzy wychodki i tyleż parowych pryszniczy. Główne pomieszczenie przypomina celę i jest oświetlane NEONÓWKAMI, jak w cholernym średniowieczu! W kącie głównego pokoju stoi telewizor, stary, 36-calowy i gruby chyba na dziesięć centymetrów, archaiczny sprzęt ale spełnia swą funkcję. Jest chyba dobrze po dziewiątej w nocy i przez ostatnie dwie godziny (od kiedy Kacper, student historii technologii, go uruchomił) oglądaliśmy co się dzieje na świecie. Na CNN10000 nadawali szybkie raporty o tym jak wygląda sytuacja na całym globie. Wszędzie spadały meteoryty. Około ósmej nadano komunikat z jakiejś bazy wojskowej z prośbą o ukrycie się i zademonstrowali trupa jednego ze stworzeń które wyszły ze spadających skał. Co prawda niewiele z niego zostało bo dostał pociskiem czołgowym w locie ale przynajmniej wiemy że te bestie są śmiertelne. Jakiś wystraszony doktor ek wyjaśniał że nikt nie zauważył tego deszczu skał bo pojawił się znikąd i cały czas celuje w naszą planetę. Po dziewiątej zaczęto na wszystkich kanałach nadawać nabożeństwa różnych religii, przeważało chrześcijaństwo. Podczas wielu z nich czytano fragmenty z Apokalipsy św. Jana, fragmenty o tysiącu lat panowania szatana na ziemi.

Dwadzieścia minut po dziewiątej sygnał się urwał i straciliśmy kontakt ze światem zewnętrznym. Nie wiem czy dziś zasnę. Reszta chłopaków raczej nie chce rozmawiać. Siedzą na swoich pryczach zamyśleni z wzrokiem wbitym w podłogę.

15 czerwca 2025 roku – Apokalipsy ciąg dalszy.

Od rana staramy się uruchomić ten szajs (telewizor) i nie działa. Jeden nieznany mi facet zabarykadował się w łazience nad ranem ale rozwaliliśmy drzwi. Teraz siedzi na pryczy przykryty prześcieradłem i chyba się modli. Jest dwunasta, zjedliśmy trochę prowiantu w proszku i połknęliśmy po kilka kryształków hydrozy (Tutaj nie ma wody nawet w kiblu, dali nowoczesne płyty rozkładające ekskrementy a nie mogli dać porządnego kryształkowego ekranu zamiast tego telewizorka). Starłem się nakręcić trochę rozmowę, sam nie wiem dlaczego. Dowiedziałem się jedynie że świat jest popieprzony a osiłek który zamknął za mną drzwi zaczyna odczuwać objawy klaustrofobii i nazywa się Cyryl Serwant. ~~Telewizor~~ To cholerne pudło całkiem zgasło, całe szczęście prehistoryczne neonówki jeszcze trzymają.

4 godziny później

Czułem, że ci kolesie ze schronu to szajbusy. I się nie pomyliłem! Siedzę w ruinach uniwersyteckiej biblioteki. Piszę chyba tylko dla uspokojenia bo wydaje mi się iż żadnej cholernej potomności już nie będzie.

Cyryl nie wytrzymał. Rozwalił swoją pryczę i dwie inne. Zaczął krzyczeć że, chce wyjść i, że tutaj nie wytrzyma. Przyłączyło się do niego dwóch histeryków, niech ich piekło pochłonie... no tak już pochłonęło, nas wszystkich. Nie udało nam się ich powstrzymać przed otwarciem włazu. Cyryl wystawił głowę na powietrze i po chwili runął do tyłu bez niej. Do środka wślizgnęło się z niesamowitą prędkością kilka istot z meteorytów. Zamarliśmy. Nagle jeden z potworów wgrzyzł się (a może się przysała, nie wiem) w brzuch Kacpra. Dopiero wtedy rzuciliśmy się do ucieczki. W ciągu jednej nocy świat zmienił się nie do poznania. Z budynków pozostały ruiny wśród których włóczyły się grupkami bestie z meteorytów. Na ulicach stało kilka pojazdów, w tym wojskowych. Nie było ludzi, dostrzegłem kilka szkieletów jakby obciążniętych skórą. Wyssanych do cna. Uciekałem w kierunku uniwerku, dziennik i długopis miałem w kieszeni czemu zawdzięczam kreślone właśnie słowa. W powietrzu wszędzie unosi się pył, kojarzy mi się z burzą piaskową. Ledwie trzymam długopis, tak trzęsą mi się ręce.

Mateusz Tomiczek – Dziennik Postapokaliptyczny
konkurs „Świat się kończy”, tekst pobrany ze strony www.wsdn.pl

Przerwałem na moment bo przechodził jeden z tych cholernych stworów. Zagrzebałem się w rozsypanych po bibliotece książkach. Mimo iż pojawiły się e-booki i książki na mini-ekranach lub do słuchania, to większość ludzi (w tym i ja) ~~wolało~~ wolało tradycyjne papierowe książki. Myślę, że zagrzebię się w nich jeszcze raz i spróbuję się zdrzemnąć.

16 czerwca 2025 roku – Spojrzę w świat.

Mam zamiar rozejrzeć się trochę po mieście, wiem że to cholernie niebezpieczne ale co mi tam. Skoro świat się kończy niech jeszcze na niego spojrzę, ostatni raz. Mam też zamiar udać się do bunkra i sprawdzić czy telewizor czegoś nie odbiera.

3 godziny później

Siedzę obecnie w bunkrze. Został zdemolowany a na progu leży kilka wysuszonych trupów ale nie ma tu tych bestii. Widocznie się znużyły i poszły szukać ofiar gdzie indziej. Przeszukałem bunkier i znalazłem w schowku w kuchni broń. Nie był to oczywiście współczesny pistolet fazowo plazmowy jakiego noszą antyterrorysty ale pułkawa na naboje. Nie znam się zbyt dobrze na tej starej broni palnej ale wydaje mi się że to Glock czy też jakiś inny szajs z Księżyca. Przez chwilę rozważałem czy nie strzelić sobie w łeb, magazynek był pełen pocisków a strzelić z takiego czegoś to chyba żadna filozofia (grało się w gry o drugiej wojnie). Uznałem jednak, że jeśli już mam zdechnąć niech przedtem zabiję kilka tych bestii. Piszę głupoty, po prostu nie dałem rady, nie panowałem nad sobą do tego stopnia by palnąć sobie w mordę z tego antyku. Postanowiłem jednak zatrzymać tę broń, na wszelki wypadek. Udało mi się naprawić telewizor. Wyszedłem z bunkra i połączyłem kabełki przy antenie wmontowanej w (powyginany teraz) maszt na którym wisiał sztandar szkoły. Sprawdziłem wszystkie stacje i na wszystkich (Nawet na CNN10000 która ma swą główną stację nadawczą na niedostępnej wyspie) widniał jedynie obraz kontrolny. Na kanałach małych stacji pokazywały się tylko kolorowe pasy lecz większe wpisały w swym (ostatnim) obrazie kontrolnym różne złote myśli i cytaty. Dominował fragment Biblii:

„I widziałem nowe niebo i nową ziemię; albowiem pierwsze niebo i pierwsza ziemia przeminęły, i morza już nie ma.”

Apokalipsa św. Jana 21,1

Możliwe, że miał być to sposób na uspokojenie ludzi ale mnie jakoś to nie uspokaja, tylko podkreśla koniec świata. Postanowiłem że tu nie zostanę, w bibliotece czułem się bezpieczniej. Wziąłem z kuchni trochę żarcia i hydrozy. Czekam na wieczór, może w lekkim półmroku bestiom trudniej będzie mnie wypatrzeć. Na niebie wciąż wisi warstewka pyłów z rozwalonych meteorów, chyba dlatego temperatura wyraźnie wzrasta. Promieniowanie nie może się wydostać. Bestie, wysoka temperatura, pył w powietrzu i wszechobecna śmierć. Jeśli to nie piekło to co?

17 czerwca 2025 roku – I co teraz?

Przekiamałem kolejną noc zagrzebany w książkach. Wczoraj widziałem tylko jedną bestię. Wydaje się, że jest ich coraz mniej ale sądzę że się przyczaiły i myślą że nie mają nic do roboty. O ile myślą. Nie mam zielonego pojęcia co z sobą dzisiaj zrobić.

Godzinę później

Siedziałem trochę w książkach i zdałem sobie z czegoś sprawę. Dziwne, że nie pomyślałem o tym wcześniej. Chodzi o to, że prawdopodobnie jestem ~~jedynym~~ jednym z niewielu ludzi którzy przeżyli.

Mateusz Tomiczek – Dziennik Postapokaliptyczny
konkurs „Świat się kończy”, tekst pobrany ze strony www.wsdn.pl

Widziałem śmierć kumpli a nie pomyślałem o mojej rodzinie mieszkającej pod miastem. Nawet myślą nie zaszczyliłem rodziców i siostry. Nie zastanowiłem się czy jakoś przeżyli. I wystraszyłem się siebie. Może jednak jestem wystarczająco podły na piekło. Kilka minut temu zauważyłem na niebie kilka bestii, cholery jednak potrafią latać. Podczołgałem się do okna i zobaczyłem coś jeszcze. Sucze syny nauczyły się ziać ogniem (albo wytwarzać go w jakiś inny sposób, z daleka wyglądało jakby ziały) i podpaliły kilka wieżowców. Może chcą puścić z dymem całe miasto (świat?).

Reszta dziennika jest nadpalona, z większości kartek został popiół a na okładce jest coś co przypomina zaschniętą krew. Książeczka leży w białej teczce leżącej na białym stoliku znajdującym się w białym pokoju. Na teczce jest połączona etykieta z napisem:

Hubert G.

Dowód nr 9 w sprawie „Piekło czy Niebo?” Nr 359137/3902